

ZATRZYMAĆ POD POWIEKAMI

Słowa układają się w zdania. Zdania w historie. Historie w czyjeś zagmatwane losy. Te losy giną w liczbach, które panoszą się w gazetach, smartfonach, ekranach komputerów. Czterdzieści tysięcy. Sto dwadzieścia tysięcy. Milion...Liczby karmią naszą wyobraźnię, mówią, jak postrzegać świat. Zaokrąglone, szacunkowe, przybliżone, orientacyjne.

NADIA

- Stuk, puk – zgięte w kłykciach palce tylko musnęły drewniane drzwi, tak jakby nie chciała, aby ktoś po drugiej stronie usłyszał ten głuchy dźwięk. Stała tak przez chwilę, nieruchoma jak posąg, ze zgarbionymi plecami i spuszczoną głową.

- Czemu nie wchodzisz? Śmiało! – kobiecy głos był ciepły, dźwięczny i zdecydowany. Stała tuż za nią i jednym ruchem dłoni pchnęła drzwi. Otworzyły się powoli, z charakterystycznym przykrym dla ucha zgrzytem. Kobieta chwyciła ją za łokieć i skierowała do środka pomieszczenia. Dziewczynka poczuła na sobie ciekawskie spojrzenia ponad dwudziestu par oczu. Jej twarz oblał niekontrolowany rumieniec.

- To jest Nadia. Przyjechała z Borysławia koło Lwowa. Będzie chodzić z wami do klasy – trzy krótkie zdania sprawiły, że dziewczynka poczuła, jakby znalazła się w zupełnie nowej rzeczywistości. Wiedziała, że już nigdy nic nie będzie takie samo. W sali zrobiło się cicho. Dzieciaki podnosiły się z krzeseł, by przyjrzeć się bliżej nieznajomej.

- Jesteś Ukrainką? – rudzielec w granatowej bluzie przyglądał się dziewczynce, a w jego głosie pobrzmiwała nuta podziwu. Odetchnęła z ulgą, to jedno serdeczne pytanie sprawiło, że poczuła się bezpiecznie.

Gdy wróciła do wynajmowanego przez mamę i babcię mieszkania na kieleckim osiedlu Ślichowice, buzia nie zamykała się przez całe popołudnie. Tyle było wrażeń i rzeczy do opowiedzenia. Mieszkają na czwartym piętrze. Dwa pokoje, niewiele ponad 40 m kw., duża jasna kuchnia, przestronny balkon. To akurat bardzo je cieszy, bo dla 80-letniej babci,

która ma kłopoty z poruszaniem się, to jedyne okno na świat. Mama Nadii – Ała jest emerytowaną policjantką. Gdy w lutym 2022 r. rozpoczęła się wojna i tuż obok ich domu zaczęły spadać bomby, spakowały dwie walizki, wsadziły kota do transportera i ruszyły w nieznane. Pociąg zapełniony był po brzegi, jechały w nieznane, byle przed siebie. Los rzucił je do Kielc. Początkowo mieszkały w ośrodku Caritas w Kaczynie, potem wraz z rodziną brata wynajęły mieszkanie na Barwinku. Tamci w końcu zdecydowali się jednak na powrót na Ukrainę, więc Ała musiała poszukać mniejszego lokum. Trafiła na dobrych ludzi – właściciel mieszkania ma Ślichowicach znalazł jej pracę przy lepieniu pierogów, poradził, którą szkołę wybrać dla Nadii, a gdy nieśmiało wspomniała, że robi się ciepło i otworzyłaby balkon, ale boi się, że kot ucieknie, zjawił się z siatką i montował ją przez pół dnia.

- Zamierza pani wracać do siebie, jak skończy się wojna? - zagadnął kiedyś.

- Nie wiem. Kto zgadnie, co będzie dalej – odparła i pochwaliła się, że zapisała się do szkoły florystycznej.

ANTONI I RÓŻA

Milicjant walnął w drzwi ubłoconym, ciężkim buciorem. - *Dawaj!* – warknął, stanął w rozkroku i podniósł karabin w górę, tak jakby chciał wypuścić w sufit całą serię. Nabrzmiała twarz wykrzywiła mu się w przerażającym grymasie. Omiótł spojrzeniem całą izbę, kopnął drewniane krzesło, które z łomotem przeturlało się pod okno. Zbili się w kupę, przywierając mocno jedno do drugiego. Róża przytuliła dzieciaki do swojego łona, jedyne bezpiecznego miejsca.

- *Ubiratsa!* - zawarczał mężczyzna.

- Panie, jak to? Dlaczego? To chyba jakaś pomyłka – Antoni próbował oponować, ale żołdat przymierzył mu lufę karabinu do skroni. Roztrzęsiona Róża pociągnęła go za rękaw, nakazując, by milczał.

- *Bystro!* – poganiał ich mężczyzna. W końcu stracił cierpliwość i wytargał całą czwórkę przed dom. Siarczysty, styczniowy mróz niczym kubeł lodowatej wody uderzył ich w twarz. Nie wiedzieli jaki czeka ich los, strach paraliżował każdy oddech, każdy ruch. Stali tak, zupełnie bezbronni przed swoją nędzną chałupą. Z położonego na niewielkim, łagodnym wzniesieniu domostwa w podkieleckim Bartkowie, rozciągał się przepyszny widok. Antoni Zimnicki pomyślał, że ze wszech miar musi zapamiętać ten widok, zatrzymać go pod

powiekami, bo czuł, że nawet jeśli przeżyją, nawet jeśli kule karabinu nie roztrzaskają za chwilę ich czaszek, może już nigdy nie będą mu dane takie dni. Tuż obok żołnierza wyrósł nieoczekiwanie jego druh, w takim samym brudnym i cuchnącym mundurze, z taką samą nabrzmiałą gębą. W dłoni trzymał łopatę, którą po krótkiej chwili rzucił pod nogi Róży.

- Kop! – warknął. Kobieta spojrzała przerażona na męża, a ten tylko zaciskał usta. Jego twarz, już od tylu lat pobrużdżona przez ciężką pracę, zdała się jeszcze głębiej wyżłobiona gęstą siecią zmarszczek. Dzieciaki zaczęły szlochać, Antoni próbował je uspokoić, ale na nic zdały zapewnienia ojca, że wszystko będzie dobrze.

- Kop babo głęboko, żeby się cała wasza czwórka zmieściła – zarechotał ten drugi. Róża ugięła się w pół i wbiła łopatę w zmarzniętą ziemię. Po cichu odmawiała modlitwy, przerywając je rozpaczliwym niemym wołaniem: *Boże pomóż, daj choć szybką śmierć...*

Kopanie szło jej opornie, ręce mdlały, siły uchodziły z niej z każdym kolejnym wbiciem łopaty w twardą ziemię. W końcu osunęła się, łopata wypadła jej z rąk, uderzając głucho o podłoże. Żołnierze wybuchli śmiechem, a odgłos ich szyderczego chichotu niósł się hen po całej wsi. - *Ech, ty durna!* – mężczyzna stanął tuż obok niej. Złapała go rękoma za nogi i błagała, by oszczędził choć dzieci.

- *No durna, cała durna* – powtórzył z pogardą. – *My zabiramem wasz dom, a wy ubirajsia!*

Spojrzeli po sobie niepewnie, bo nic nie zrozumieli z tego, co wykrzykuje sowiecki żołnierz. Czuli tylko, że dzieje się coś złego. Nadchodzący front niósł za sobą spalone domostwa, zgwałcone kobiety, rozstrzeliwanych mężczyzn, rozkradany dobytek. Armia Czerwona, która wkroczyła na Kielecczyznę wraz z początkiem 1945 r., nie budziła entuzjazmu, lecz strach, przerażenie i nienawiść. A przecież był to dopiero początek, bo sowiecki terror rozlał się na kolejne miesiące i nawet zdobycie Berlina i zakończenie wojny, niczego nie zmieniło. Ludziska po cichu powtarzali sobie zasłyszane historie o zgwałconej w pociągu relacji Radom – Skarżysko dziewczynie, którą żołdaci na koniec wyrzucili z rozpędzonego pociągu albo mężczyźnie, któremu poderżnęli gardło na oczach dzieci.

- *No paszoł won* – ściszone głosem syknął czerwonoarmista i wtedy Zimniccy zrozumieli, że nie wrzucą ich ciał do wykopanego dołu i że powinni czym prędzej uciekać gdzie oczy poniosą.

DAWIDEK

Dawidek nasunął czapkę na oczy. Słońce raziło go niemiłosiernie. Przycupnął na miękkiej trawie, oparł wygodnie plecy o drewniany, nieco zmurszały płot. Prześpi się trochę. Tak błogo. Tak ciepło. Śni mu się szkoła. Nauczyciel wywołuje go do tablicy. - Rubinowicz! – tubalny głos belfra budzi respekt. – Z algebrą ci nie po drodze wałkoniu. Do kozy cię wyślę, jak się nie nauczysz.

Nauczyciel nazywał się Staroń, nosił śmieszne wąsy i był starym kawalerem. Miał zawsze wyglancowane buty, a jak szedł przez Krajno, zaglądał do sklepu kolonialnego, gdzie kupował dziesięć deko miętusów. Wszyscy mówili, że zamawia tak mało, bo chce mieć pretekst, by zaglądać do sklepu każdego dnia. A to wszystko z powodu ekspedientki, która miała na imię Helenka. Ładna była i miła, i chyba całkiem mu przychylna. Chciał się z nią żenić, ale zabrakło czasu, bo przyszła wojna. Staronia powołali do wojska, nałożył mundur, ruszył bronić Kielc i tyle go widzieli. Podobno zginął podczas bombardowania lotniska w Masłowie, podobno poległ podczas ataku na niemieckie czołgi, które czaiły się na SzydłóWKu, podobno dostał się do niewoli... Kto wie... Tak czy inaczej po Staroniu słuch zaginał, w sklepie kolonialnym skończy się miętówki, a piękna Helenka wyjechała do rodziny mieszkającej pod Lublinem. I też już nigdy nie wróciła, więc nawet gdyby przeżył, to do kogo miałby wracać?

Dawidek czuje przez sen smak miętówek. Czuje też głód. Mama bezradnie rozłożyła dziś ręce, bo nie miała co włożyć do garnka. - Gdybyśmy byli w Krajnie, zalałoby się ziemniaki maślanką i wszyscy by się najedli – rozmarzyła się Tauba.

- Zapomnij o tamtym życiu. Siedzimy w getcie i teraz tu jest nasz dom – odparł Joska. Mówi tak ze złością, choć sam marzy o tamtym życiu. Wszyscy ich szanowali. Żyd nie Żyd. Polak nie Polak. Mojżeszowy czy katolik... Joskę mleczarza wszyscy znali, każdy chwalił jego mleko, zawsze świeżutkie i białe jak obłoczki, które wędrowały po niebie rozpostartym nad Doliną Wilkowską. A jego maselko? Palce lizać. Nawet do Kielc zawoził, bo paniusiom z miasta tak posmakowało, że dopominały się o dostawy. Piękne było to życie. I dobrzy ludzie wokół. Jak zabierali ich do getta, to całe Krajno lamentowało i załamywało ręce nad ich losem. A teraz? Teraz ci, którzy jeszcze do niedawna brali od niego towar, wypisują na murach same oszczerstwa. *Brudną wodę leje do mleka, zamiast mięsa szczura sieka...*

NADIA

Nauczyciele nie wyrywają jej do odpowiedzi, obserwują tylko, czasami o coś zapytają. Dzieciaki po pierwszych tygodniach przyglądania się Nadii i pytania o to, czy widziała na własne oczy Zelenskigo, straciły zainteresowanie jej osobą, stała się po prostu jedną nich. Może to i dobrze, ale czasami czuje się bardzo samotna. Tam daleko zostawiła przyjaciół, swoje miejsce w szkolnej ławce, bibliotekę, do której tak lubiła zaglądać. Mimo całej serdeczności, która otacza ją i jej rodzinę czuje się inna, obca... Chciałaby, żeby mama zrezygnowała z planów zdomowienia się w Polsce i zdecydowała się na powrót na Ukrainę. Cóż z tego, że tam wojna, cóż z tego, że ciągle rozlegają się syreny alarmowe, przecież to wszystko kiedyś się skończy.

Z danych Kuratorium Oświaty w Kielcach wynika, że w województwie świętokrzyskim w 315 szkołach i przedszkolach uczy się dwa tysiące dzieci i młodzieży z Ukrainy. Jak relacjonuje podczas konferencji prasowej kurator Kazimierz Mądzik - aklimatyzacja uczniów ukraińskich przebiega dobrze, nasza młodzież podchodzi przyjaźnie do kolegów zza wschodniej granicy. Ukraińskie dzieci mogą też liczyć na wsparcie nauczycieli.

W województwie jest prawie 60 pedagogów, którzy znają język ukraiński i ponad 1600 posługujących się rosyjskim. Ponadto w grupach przygotowawczych pracują nauczyciele języka polskiego. Ideą tych klas jest, aby przygotować młodzież ukraińską do zajęć w normalnym systemie, tak by mogła kontynuować naukę w regionie świętokrzyskim.

Jedna z takich nauczycielek pracuje w szkolnej bibliotece. Dla rusycystki z wykształcenia nie było 18 godzin lekcyjnych, więc trzeba było jakoś łątać etat.

- Przyjdź, to wybierzemy coś do czytania, pomogę ci w lekturze – zachęcała Nadie, więc żeby nie robić jej przykrości poszła do biblioteki. Wędrowała między półkami i przesuwiała wskazującym palcem po grzbietach równo ustawionych książek. Wyciągnęła w końcu egzemplarz, którego okładka przypominała starodawny, sfatygowany szkolny brulion.

- *Pamiętnik Dawida Rubinowicza* – przeczytała jej nauczycielka na głos. Nadia przysiadła na krześle, oparła łokcie na blacie kolorowego stolika i otworzyła książkę.

– Spodobał ci się, będziemy czytać razem – obiecała bibliotekarka. - Jej autor, Dawidek, miał tyle lat, co ty, gdy pisał swój pamiętnik. Gdy jego rodzinę wywożono do

obozu zgłady w Treblince, zostawił swoje zapiski przyjacielowi i ten przechował je na strychu. Po latach ktoś je odnalazł przez przypadek. Chodził do szkoły w niedaleki Krajnie, ale tylko do szóstej klasy, bo potem wybuchła wojna, a że był Żydem, nie mógł dalej się uczyć – tłumaczy kobieta.

- Dlaczego? – spytała zdziwiona Nadia.

- Przeczytamy do końca, to dowiesz się wszystkiego – kobieta uśmiechnęła się łagodnie i umilkła, a po chwili namysłu dodała: - Mam pomysł... Przygotowujemy przedstawienie teatralne na podstawie pamiętnika. Chciałabyś w nim zagrać siostrę Dawidka?

- Ja? – zdziwiła się Nadia.

- Tak, ty. Nikt nie zrozumie lepiej od ciebie losów Rubinowiczów – stwierdziła z przekonaniem kobieta.

ANTONI I RÓŻA

Gdy zeszedli już ze wzniesienia, na którym stał ich dom, zatrzymali się i odwrócili, by jeszcze raz popatrzeć na tę biedną chałupinę, którą zarekwirowali sowieccy żołdacy. A potem skierowali się w wąską, ociemnioną olchami dróżkę, którą prowadziła do wsi. W trzeciej chałupie mieszkała siostra Róża – Zocha, liczyli, że przyjmie ich pod swój dach.

- Nigdy nie wrócimy do siebie – zawyrokowała Róża, gdy zasiedli w kuchni do stołu.

- Nie kracz babo – Antoni wszedł jej w słowo, ale mówił jakoś tak bez przekonania. Nagle zza okna dobiegł ich jakiś rwetes, odgłosy krzyków i płaczu. Wybiegli przed dom i skierowali się w stronę chałupy sołtysa. Tłum ludzi kłębił się na niewielkim podwórku. Zgromadzeni usłyszeli najpierw odgłos ciężkich buciorów, a potem zobaczyli sylwetkę NKWD-zisty, Mężczyzna przystanął, założył ręce do tyłu, odchrząknął i tubalnym głosem obwieścił: - Nie ma tu miejsca dla niebezpiecznego, zdraдлиwego elementu! Nie ma miejsca dla bandytów z lasu! – grzmiał. Wśród zebranych rozległ się szmer. – Niesiemy wam wyzwolenie, trzy lata nasi żołnierze walczą o wolność waszego kraju, oczekujemy posłuszeństwa i wdzięczności. Niech nikt nie waży się ukrywać reakcjonistów z AK! Jak wiecie, gdzie się chowają te szczury, przyjdźcie do nas i szczerze wyznajcie.

Róża kuli się w sobie, policzki pąsowieją jej ze strachu, wydaje jej się, że żołdak o twarzy pokrytej fioletowymi bliznami zatrzymuje na niej wzrok, bo już wie, że jej brat to

jeden z tych, których potem będą nazywać niezłomnymi. Ukradkiem spogląda na Antoniego, ale ten wyprostowany jak struna, patrzy przed siebie. Tylko zaciśnięte usta, choć nieme, mówią tak wiele.

Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki z Delegatury IPN w Kielcach relacjonuje, że wkraczające za frontowymi oddziałami jednostki NKWD oraz specjalne grupy wyznaczone do tworzenia od podstaw wojewódzkich i powiatowych struktur aparatu represji - Urząd Bezpieczeństwa Publicznego i Milicja Obywatelska, od pierwszych dni po wyparciu Niemców rozpoczęły aresztowania osób uznanych za wrogów lub przeciwników politycznych. Tak było już w drugiej połowie 1944 r. na przyczółku sandomierskim. Prowadzone przez funkcjonariuszy NKWD śledztwa odbywały się m.in. w tzw. polowych więzieniach, czyli wykopanych ziemiankach pokrytych prowizorycznymi dachami. Liczba aresztowanych, zabitych lub deportowanych do ZSRR akowców z przyczółka sandomierskiego nie jest dokładnie znana. Prawdopodobnie było to kilkaset osób, wśród których byli akowcy ze Staszowa, Rytwian, Osieka, Bogorii, Koprzywnicy i z okolic tych miasteczek. Skali represji na tym terenie dowodzi depesza komendanta Okręgu Radomsko-Kieleckiego AK - płk. Jana Zientarskiego z 13 lutego 1945 r.: „W Sandomierskiem w ciągu zaledwie kilkumiesięcznej okupacji sowieckiej aresztowano więcej Polaków niż przez pięć lat okupacji niemieckiej”.

W lipcu 1945 r. prezydent Kielc w piśmie do wojewody kieleckiego donosił, że w miesiącu „miało miejsce około 30-tu wypadków zgwałceń, przy czym w 15-tu wypadkach nastąpiło zarażenie chorobą weneryczną. Obecnie w Szpitalu Miejskim znajduje się 5 kobiet w wieku od lat 9-28 zgwałconych przez maruderów sowieckich”. Takie drastyczne zdarzenia potwierdza także telefonogram ze starostwa powiatowego w Kielcach. Donoszono w nim, że „w Kielcach ostatnio było kilkanaście wypadków gwałtów dokonanych tak w stosunku do starszych kobiet jak i zupełnie nieletnich, pogryziono przy tym w bestialski sposób swe ofiary, wyrwijając im dosłownie kawałki ciała a nawet w jednym wypadku przegryzając krtań. W całym powiecie kieleckim wojsko sowieckie terroryzuje ludność i niszczy jej dobytek”.

DAWIDEK

Rubinowiczowie trafili do bodzentyńskiego getta w styczniu 1942 roku. Zamieszkali przy ul. Kieleckiej 13 u kuzyna – krawca Jankiela Dawida Cisłowskiego. Tłoczyli się w niewielkim mieszkaniu, ale nikt nie narzekał. Każdego dnia patrzyli, jak Niemcy przywożą

nowych Żydów. Większość pochodziła z Kielc, choć byli i tacy, których przygnano tu z Łodzi i Płocka.

W czasach II wojny światowej na ziemiach polskich istniało około 600 gett. Były one integralną częścią antyżydowskiej polityki nazistów we Wschodniej Europie, izolacja ludności była przyczyną narastających patologii życia społecznego wewnątrz przeludnionych gett: chorób, głodu i korupcji.

W bodzentyńskim getcie, które utworzono w 1940 r., przebywało 3,7 tys. Żydów. Pod koniec września 1942 r. wszystkich popędzono na stację kolejową w Suchedniowie. Tu załadowano ich do bydłęcych wagonów wysypanych wapnem i skierowano przez Malkinię do obozu zagłady w Treblince, gdzie zginęli w komorach gazowych.

31 marca 1941 r. wyszło rozporządzenie o utworzeniu: „Żydowskiej dzielnicy na terenie miasta Kielc”. Getto zlokalizowano w najuboższej dzielnicy miasta, gdzie większość domów nie miała wody i kanalizacji. Na jej terenie było 500 budynków, w których mogło zamieszkać około 15 tysięcy osób, gdy tymczasem liczba Żydów w mieście sięgała, wraz z przesiedlonymi, 27 tysięcy. 20 sierpnia 1942 r. rozpoczęła się pierwsza akcja wysiedlenia Żydów z getta. W jej trakcie Niemcy zamordowali na miejscu około 1200 osób. Do obozu śmierci w Treblince wywieźli ponad 21 tysięcy Żydów.

Dawidek budzi się z drzemki, przeciąga z lubością i dotyka rozgrzanej od słońca szyi. Czas wracać do domu, bo mama będzie się złościć, że łązi tak bez celu. Gdy przekracza próg mieszkania od razu bierze się do pisania, skrobie z zacięciem w swoim zeszycie o wszystkim tym, co się wydarzyło i co koniecznie trzeba zapamiętać. Tauba śmieje się, że pisarz jakiś z niego wyrośnie, tylko czy z tego gryzmolenia da się wyżyć?

- Pamiętasz, jak jeszcze chodziłeś do szkoły w Krajnie, pani Florentyna Krogulcowa nachwalić cię nie mogła, że taką lekką masz mowę - wspomina Tauba. – Szkoda, że Niemcy nie pozwolili Żydom dalej się uczyć.

- Mamula się nie martwi, ja sam potrafię przysiąść nad książkami – mówi Dawidek. Jego serdeczny przyjaciel Tadek Waciński, który mieszka pięć domów dalej, po kryjomu podrzuca mu podręczniki. Dawidek czyta je skwapliwie. Skończy się wojna, to wróci do szkoły i nadrobi wszystkie zaległości. A teraz znów chłopiec pochyla się nad swoją pisaniną. Notuje wszystko skrętnie – że dwa kilo chleba razowego kosztuje jedenaście złotych, że maj

taki upalny, że ludzie umierają z głodu, że żandarmeria zrobiła rewizję u bogatego gospodarza, który ukrywał świnie, że znowu rozstrzelali kilku Żydów.

Tadek nie tylko przynosi książki, Tadek Waciński to ktoś, kto przypomina Dawidkowi, że istnieje zwykły, chłopięcy świat, w którym włazi się na drzewa i kradnie jabłka, strzela z procy i podrzuca do góry „zoškę”. Tadek pociesza i mówi mu, że będzie dobrze albo nie mówi nic i śmieje się w głos. A jego śmiech jest zaraźliwy. Ale mały Rubinowicz czasami płacze i coraz częściej ogarnia go strach. Paralizujący, niemożliwy do stłumienia. Za dużo widział i za dużo słyszał.

-W Krajinie Niemcy zabili bagnetem czterech Żydów, nigdzie już nie jesteśmy bezpieczni – mówi ściszym głosem ojciec. - A w Bielinach to już nie wiedzą gdzie chować naszych.

Dzień za dniem mija od świtu do zmierzchu. Od obławy do obławy. Niemcy w asyście żydowskiej żandarmerii przeczesują bodzentyńskie getto, zabierając z domów i wywożąc nie wiadomo gdzie tych, którzy akurat mieli mniej szczęścia. Jedni mówią, że wloką ich do pracy przymusowej do fabryki w Skarżysku – Kamiennej, inni twierdzą, że wywożą ich na śmierć. Komu udaje się ukryć, ten ma szczęście. Dawidkowi i jego rodzinie akurat całkiem niezłe wychodzi ta zabawa w chowanego, dziękują za każdy kolejny przeżyty dzień.

Piekło przychodzi nieoczekiwanie. W nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego września 1942 r. niemiecka żandarmeria wjeżdża do Bodzenty na motorach. Jak na paradę, ale to nie żadna defilada. Żołnierze walą w kolejne drzwi, wloką Żydów na rynek. Rubinowiczom udaje się zapakować do tobołków kilka rzeczy, które akurat były pod ręką. Dawidek w pośpiechu wrzuca do papierowej torby szare zeszyty ze swoimi zapiskami i biegnie co tchu do Tadzia Wacińskiego.

- Schowaj to – mówi do przyjaciela.

- Ale wrócisz? – dopytuje Tadek.

- Nie wiem, ale ukryj dobrze – prosi Dawidek.

I tyle się widzą. Niemcy pakują Rubinowiczów na wóz konny. Po drodze mijają porzucone w rowach trupy. Starcy. Kobiety. Dzieci. A obok tobołki z dobytkiem, którego już nikt nie potrzebuje. Tauba chowa twarz w dłoniach i płacze. Mijają Wzdół Rządowy i Michniów, by po kilku godzinach dotrzeć do Suchedniowa. Tu Niemcy ładują wszystkich do

bydlęcych wagonów kolejowych wysypanych wapnem. Chwytają rozwrzeszczane dzieciaki i wrzucają je do środka, jak piłki. Maluchy lądują na głowach przerażonych ludzi. Oszałałe ze złości psy skowyczą i doskakują do drzwi wagonów. Rzęsisty deszcz uderza miarowo w dachy budynków stacji, niczym werble nawołujące do boju. Nad torami unosi się coraz gęstsza mgła, Dawidek próbuje dostać się do maleńkiego okna, ale w wagonie gnieździ się może ze stu ludzi i dzieciak nijak nie może przebić się przez tą zbitą ciasno masę.

- Dokąd nas zawiozą? – chłopiec szarpie ojca za rękaw.

- Nie wiem synu, pewnie na roboty – mówi cicho Joska. Ale stary Żyd wie, że to nieprawda. On już przeczuwa, że na końcu tej drogi nie czeka ich nic dobrego i że trzeba się czym prędzej i jak najwięcej nacieszyć tym życiem, które im jeszcze zostało. I napatrzeć, ile się da na Taubę i dzieciaki. Jacy oni wszyscy kochani, jacy piękni.

Pociąg rusza, charczy złowrogo, jak ociężały potwór. Zatrzyma się dopiero na boczniczy kolejowej w Treblince. To będzie koniec podróży Dawidka i jego rodziny.

SŁOWA. ZDANIA. HISTORIE

Słowa układają się w zdania. Zdania w historie. Historie w czyjeś zagmatwane losy. Nadia nigdy nie słuchała zbyt uważnie ani słów, ani zdań. Niewiele rozumiała, miała przecież zaledwie trzynaście lat. Od kiedy zaczęła się wojna w Ukrainie i w popłochu opuściły swój dom, zrobiła się bardziej uważna. Teraz uczy się na pamięć po polsku teatralnej roli, przymyka oczy i powtarza kolejna słowa. Nie jest tego dużo, zaledwie kilka zdań, ale potrzebuje dużo czasu, by przyswoić sobie te szeleszczące słowa. Język niby taki podobny, a jednak zupełnie inny. Dziewczynka nie wie, jak przed osiemdziesięciu laty mówiły żydowskie dzieci, ale wie, co mogły czuć. Chyba to samo, co czuła ona, gdy łomot wybuchów kruszył szyby w oknach ich mieszkania.

Bibliotekarka uśmiecha się do Nadii i poprawia jej akcent. Nauczycielka najlepiej wie, że historia nie tyle zatacza koło, co robi jakieś niewytłumaczalne wolty. Jej dziadek Antonii Zimnicki zawsze pomstował na czerwonoarmistów, którzy w styczniu 1945 r. wyrzucili go z rodziną z chałupy. Najbardziej nie mógł przeżyć tego dołu, który kazali kopać jego żonie Róży. Później dowiedział się, że jednym z oprawców był Ukrainiec. Myślał czasami o nim, czy dotarł do Berlina czy też zakończył swój żywot w jakimś przydrożnym rowie. Tak właśnie mieszają się losy i historie. Nie nadążysz za nimi i nie zrozumiesz do końca.